



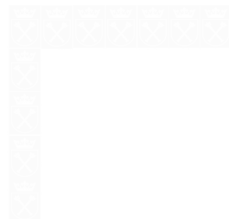
Szilárd Borbély

---

WYKORZENIENI

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

# WYKORZENIENI





# Szilárd Borbély

# WYKORZENIENI

Tłumaczenie Karolina Wilamowska

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Seria: Literatura

Projekt okładki: *Agnieszka Kucharz-Gulis*

Fotografia na okładce: fotoyou/Depositphotos

Tytuł oryginału: *Nincstelenek Már elment a Mesijás?*

Szilárd Borbély: *Nincstelenek. Már elment a Mesijás?*

The Original Hungarian edition has been published by Kalligram,  
Bratislava, 2013

© Szilárd Borbély 2013

© Suhrkamp Verlag Berlin 2014

All rights reserved by and controlled through Suhrkamp Verlag Berlin



PETŐFI LITERARY MUSEUM

Tłumaczenie książki dofinansowane z funduszków Hungarian Books & Translation Office i Petőfi Literary Museum

© Copyright for Polish Translation and Edition by Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Wydanie I, Kraków 2016

All rights reserved

Niniejszy utwór ani żaden jego fragment nie może być reprodukowany, przetwarzany i rozpowszechniany w jakikolwiek sposób za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych oraz nie może być przechowywany w żadnym systemie informatycznym bez uprzedniej pisemnej zgody Wydawcy.

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”.

Publikacja odzwierciedla jedynie poglądy autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczone w niej treści.



Co-funded by the Creative  
Europe Programme  
of the European Union

ISBN 978-83-233-4050-8; e-ISBN 9783-83-233-9733-5



[www.wuj.pl](http://www.wuj.pl)

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków

tel. 12-663-23-81, tel./fax 12-663-23-83

Dystrybucja: tel. 12-631-01-97, tel./fax 12-631-01-98

tel. kom. 506-006-674, e-mail: [sprzedaz@wuj.pl](mailto:sprzedaz@wuj.pl)

Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

2•3•5•7•11•13  
•17•19•23•29•  
31•37•41•43•  
47•53•59•61•  
67•71•73•79•  
83•89•97•101



Idziemy i milczymy. Między nami jest różnica dwudziestu trzech lat. Dwadzieścia trzy to liczba niepodzielna. Dzieli się tylko przez siebie. I przez jeden. Taka jest nasza samotność. Nie da się jej rozbić na części. Trzeba dźwigać ją w całości. Niesiemy obiad. Idziemy po nasypie. My mówimy: kopa. Kopa Ogmanda. Tędy chodzimy do lasu po drewno. Czasem omijamy Łęgi, żeby później przejść Steczką. Bo tam mniej błota. My mówimy: plajty. Albo przez Hrabiowski Lasek, cały czas Deskówką. Mama ma chustkę na głowie. My mówimy: salinówkę. Kobiety muszą zakrywać głowy. Starsze robią węzeł pod brodą. Im wolno chodzić tylko w czarnych. Chustka mamy jest kolorowa. Wiąże ją z tyłu, pod kokiem. Latem nosi cienką, trójkątną. Białą w niebieskie grochy. Tata kupił ją rok temu na jarmarku w Kölcse. Mama ma rudobrzązowe włosy. Kasztanowe. Nie wszystkie kasztany są rude. Jesienią zbieramy je z siostrą. We wsi rośnie tylko jeden kasztan, w dawnym folwarku Barkóczyego. Pozostałe wycięli po wojnie. Tutejszą podmokłą ziemię znoszą tylko topole. I wierzby. My mówimy: łozy. Wiosną łatwo z nich wystrugać gwizdek, łożowy gwizdek. Drażnimy nim mamę. Psy i sąsiadów.

Jesienią wymykamy się za Łakę Kepeca, gdzie rośnie kasztan. Skradamy się ogródkami. Pod koniec lata wokół ogromnego drzewa leżą uschnięte pięciopalczaste liście. Odcięte dłonie olbrzymów. Wiosną kwitną na nim białe świece. Zielona łupinka to jeź. Nogi robimy mu z zapalek. Prosimy o nie mamę. Tylko ona może ruszać zapalki, bo to nie zabawka dla dzieci.

„Nóż, zapalki, wrzątek, nie dla dziecka rączek”, nuci.

„Teraz my jesteśmy panami. Lud jest panem. Kiedyś doili nas, to teraz my będziemy doić kułaków... A jak się komu nie podoba, to droga wolna!”, mówią dawni wyrobnicy.

„Takim to łatwo gadać, bo ani jednego gwoźdźnia nie wnieśli do spółdzielni”, powtarza dziadek, któremu najbardziej żal koni. „Oni tylko biorą”.

„Byle się nachapać”, szepcze z odrazą.

„Tylko marnować potrafią, trwonić. A do gospodarki każdy z nich ma dwie lewe ręce”.

Gospodarze najbardziej żałują koni, ziemi mniej.

Katowano je w teesie<sup>1</sup>, aż wyzionęły ducha.

„Pozdychały. Padły przed czasem. Na co to komu było?”, mówi dziadek.

Nowi panowie są niecierpliwi i porywczy. Wszystkich tytułują towarzyszami. Wymyślili też nowe powitanie.

„Zera jak ich ojce. Tylko patrzą, co by darmo wziąć”, mruczy.

„Naprzód, towarzysze!”, wołają zamiast pochwalonego. I nieustannie mówią o postępie.

„Trzeba iść z duchem czasu, towarzysze, z postępem! Produkujeśmy wszystko, co tylko chcemy. Jak kauczuk, to kauczuk. Jak ryż, to ryż. Co rozkaże partia! Słowa towarzysza Stalina i towarzysza Rákosiego<sup>2</sup> to świętość. Naturę trzeba zwyciężyć, towarzysze!”, powtarzali brygadziści ludziom dygoczącym na wczesnoporannych zbiórkach. W międzyczasie pociągali raz czy dwa z butelki.

„Pies wam mordę lizał, towarzyszu”, mieli w ustach dziadek, żeby inni nie słyszeli. Ale i tak słyszą. Wiedzą.

„No, no, uważajcie na słowa”, syczą nowi panowie. Ale nie chcą kłopotów. Dość ich mieli. Kułaków wypuszczono już z obozu. Większość zaraz się wyniosła. Nie wytrzymali we wsi. Ludzie nie żalowali, że nie muszą im więcej patrzeć w oczy.

<sup>1</sup> Termelőszövetkezet (w skrócie: TSZ) – Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna.

<sup>2</sup> Mátyás Rákosi (1892–1971) – węgierski komunista, pierwszy sekretarz Węgierskiej Partii Komunistycznej w okresie stalinowskim.

Wycięto ozdobne drzewa, rozebrano folwarczne budynki. W miejscu kasztanowej alei stanął dom partii. O majątku się nie wspomina. Ani słowem.

„Chłopi potrafiały dobrze milczeć”, mawia mama.

Nie wolno wspominać przeszłości. Starzy ludzie mówią, że zamierzchłych dziejów. To, o czym milczymy, nie istnieje. „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata...”, śpiewają ludzie za organistą, tak jak na pogrzebach.

Za dnia mama nosi spięte włosy. Gdy je rozpuszcza, zapada wieczór. To ją ją czeszę. Lubię, jak pomiędzy ząbkami rogowego grzebienia prześlizgują się błyszczące pasma. Lśnią jak noc. Jak rozgwieżdżone niebo, ładnie pachną. Trawą. Chlebem. Mlekiem. Grzebienia się brzydzą. Przypomina mi zabite zwierzęta. Szpary między zębami zalazły brudem. Zlepkiem łupieżu, łoju i kurzu. Kobiety wiążą włosy w kok. Spinają je rogową klamrą. Za dnia mama chowa włosy pod chustką. Moja starsza siostra jeszcze nie. Włosy myjemy w sobotę. Wieczorem stawiamy na podłodze balię do mycia. Na kuchni gotujemy wodę, kąpiemy się w niej po kolei. Najpierw siostra, potem ja, na końcu mama. Wszyscy myjemy włosy olejowym szamponem, splukujemy garczkiem wody. Dlatego pachniemy tak samo.

Czuję to już w progach. U innych tak nie pachnie. Właśnie idziemy po chrust do lasu. Mama ma ciemną chustkę z wełny. Szarą i grubą. Zawiązała ją pod brodą jak stare kobiety, żeby grzała w uszy. Bo jeszcze jest zimno. Ja marznę, trzymam mamę za rękę. Jej dłoń jest ciepła, moja lodowata. Jeśli mama akurat coś niesie, a zawsze coś taszczy, wsadzam ręce do kieszeni. W kieszeni próbuję ogrzać dłonie. Marzną mi paznokcie. Nie rozumiem, jak mogą marznąć paznokcie. Zastanawiam się nad tym, próbuję dotrzymać kroku mamie. Latem chodzimy zbierać pozostawione po żniwach kłosa. Chciałbym, żeby było już lato. Najwięcej można znaleźć na samym brzegu rzyska. Latem przynajmniej jest ciepło. Ale wtedy mi to przeszkadza.

„Jak nie urok, to sraczka. Choćby wam dupska miodem posmarował, też wam nie dogodzi”, mówi mama. I śmieje się. Jakby powiedziała coś zabawnego. A przecież to nie jest zabawne.

Idziemy chodnikiem, dygoczę z zimna. Zawsze dygoczę. Marzną mi ręce i palce u stóp. Mróz wymalował pajęczyny w oczkach siatki. Dobrze teraz widać splątane nitki. Dla zabawy przebijam je palcem, a wtedy znikają jak za dotknięciem magicznej różdżki. Wystarczy przerwać jedną, żeby całość się rozpadła. Nitki pękają, przypominające cukier kryształki szadzi sypią się na ziemię. Czasem brzęczenie siatki zwabia psy. Jeśli mama na mnie nie krzyczy, patykiem lub witką przeciągam po siatce. Wtedy większość nie szczeka. Niektóre psy biegną za nami po drugiej stronie płotu, dopóki nie miniemy zagrody. Te są nerwowe. My mówimy: narwane. Obnażają dziąsła. Szczerzą śnieżnobiałe kły. Drepczą w miejscu. Rozsadza je wściekłość.

„Czego je zaczepiasz?”, pyta mama.

„Nie zaczepiam”, mówię i wciskam głowę w ramiona. Kątem oka śledzę jej rękę. Stoję po lewej. Lewą ręką zwykle nie bije. Oddycham z ulgą.

„Nie kłam”.

„Tylko zrywam pajęczyny”, mówię. Mama milczy, szarpie mnie ostro za rękę i przyspiesza kroku.

„A, ty gangreno”, mówi. Kiedy mnie tak nazywa, to znaczy, że się nie gniewa.

Siostra jest pierwsza. Ja drugi. To moja cyfra, dwójka. Siostra to Starsza. Jest dziewczynką. Ja jestem Chłopak. Nasz braciszek to Malutki. On jest trzeci. Tak na nas wołają.

„Pobujtajcie Malutkiego”, mówi mama. Kołyszymy go i usypiamy. Liczę ruchy kołyski. Raz, dwa, trzy. To były pierwsze cyfry, jakich się nauczyłem. Już od dawna umiem liczyć do dziesięciu. Ćwiczę na jajkach. Nigdy nie mamy więcej niż dziesięć kur.

Mama każe mi liczyć jajka, żeby wiedzieć, ile tego dnia zniosły kury. Rano po kolei je maca i wyrzuca z kurnika. Lewą ręką chwyta skrzydła, przyciska kurę do siebie, a palec wskazujący prawej ręki wpycha do kupura. Tam już czeka jajko, można wyczuć je palcem. Mama liczy, ile jajek zniosą tego dnia, a ja muszę je wszystkie odszukać, zanim zajdzie słońce. Zimą trzeba się spieszyć, bo wcześniej się zmierzcha.

Kiedy jest ich mniej, niż policzyła, mama krzyczy. Siostra ma swoją robotę, za którą jej się obrywa. Do południa kury znoszą jajka. Po obiedzie zaczynam szukać. Wiem już, gdzie zwykły je chować. To nie kwoki, nie wysiadują jajek, po prostu je ukrywają. W stogu, pod stertą drewna, za szopą. W skrzynce niesie się tylko kilka, a przecież tam mają naszykowane.

Od jakiegoś czasu to ja macam kury. Niedobrze mi, cały palec mam w kurzym gównie. Wżera się pod paznokcie, nie mogę go wymyć. Ale przynajmniej mama nie wie, ile będzie tego dnia jajek. Zawsze mówię o jedno mniej. Jeśli znajdę więcej, jedno odkładam na następny dzień. Dzięki temu na mnie nie krzyczy.

„Na pewno?”, pyta. Widać, że kłamię.

Cieszę się, kiedy znajduję siedem jajek. Lubię siódmkę. I trójkę.

Kiedy je dodam, wychodzi dziesięć. Dotąd umiem policzyć.

Ziemia jest wciąż siwobiała od szronu. Idziemy drogą poszatkowaną przez koła wozów. Wycięły w błocie głębokie bruzdy. Teraz się nie lepi, bo trzyma mróz. Wszędzie leżą bryły błota. My mówimy: bryle. Kopię w nie. Łamię się i kruszą. Albo toczą się dalej. Czasem boli mnie od tego palec u stopy. Nie szkodzi, przynajmniej nie drętwieje z zimna. Dopóki boli, wszystko w porządku. Mam zdarte buty. Cienkie spodnie zamiast kombinezonu. Przymała kurtkę. Szalik i czapkę po siostrze. Onuce na nogach. Szmata ciągle się zsuwa, a wtedy nogi marzną mi jeszcze bardziej. Zawsze marznę, bo jestem gapa. Nie potrafię ściśle owinąć nóg onucą, a końca zatknąć pod spodnią warstwę z tyłu łydki. Jakbym zrobił to porządnie, onuca by się nie rozwijała. I nie marzłbym. Mama nie ma czasu owijać mi nóg.

„Jesteś już dużym chłopcem. Czas się nauczyć”, mówi, kiedy proszę o pomoc.

Idziemy oblodzonym chodnikiem pośród oszronionego zielska. Śniegu już nie ma. Ale wszystko jest jeszcze zamarznięte. Ogródki stoją zwichrzone i opustoszałe.

„Przebieraj szybciej nogami”, upomina mnie.

Zimno mi w lewą rękę. Za prawą trzyma mnie mama. Ma duże dłonie o twardej, popękanej skórze. I brudne paznokcie, jak każdy. Mężczyźni

odrzucają je szczyrykiem. Malutkiemu mama obgryza paznokietki, żeby się nie podrapał. Moje też są ciągle czarne. Kiedy się nudzę, wydłubuję spod nich brud. Od dojenia, prania, czyszczenia sadzy, wybierania popiołu mamie popękała skóra i paznokcie. Tylko wierzch dłoni pozostał miękki i gładki.

„Zimno mi w nogi”, mówię.

„Twój problem”, odburkuje nieuważnie.

„Zimno mi w nogi, mamó”, mówię. „Naprawdę. Niech się mama zlituje i weźmie mnie na barana”.

„Skaranie boskie z tobą, idź sam”, odpowiada, ale widzę, że myślami jest gdzie indziej. To mnie złości.

Jestem zły, bo nie zwraca na mnie uwagi. Chciałbym, żeby zajmowała się tylko mną. Kopię w beton. Zdrapuję brązową farbę z czubka buta. Na szczęście mama nie zauważa. A może nie ma ochoty mnie bić. Zazwyczaj mówi: „do diabła i z tobą! Niech cię cholera...”.

„W domu oberwiesz”, syczy mi do ucha. My mówimy: w domie. A potem w domie okłada mnie z płaczem szmatą do podłogi. Pociąga nosem. Wierzchem dłoni wyciera smarki. Ścierka moczy się w wiadrze, żeby zawsze była pod ręką, gdy trzeba zetrzeć brud, rozlane pomyje, kocie gówno. I gnój, który wnosimy na butach. Dlatego śmierdzi. Za szmatę służą podarte dresowe spodnie siostry. Ciemnoniebieskie. Po lewej stronie są pokryte meszkiem, więc dobrze chłoną wodę i robią się ciężkie. Mama nigdy ich nie wyżyna, tylko bije mokrymi. Nie boli tak bardzo, jak głośno krzyczę. Siostra też tak robi. To od niej się tego nauczyłem. Mama wściekle okłada mnie ścierką.

„Do diabła i z tobą” szlocha. „Do diabła...”, mówi. I płacze. Wiem, że w takich chwilach myśli o sobie i o wsi, w której mieszkamy. Nie gniewam się na nią, nie boli. Już przywykłem.

Kot wkrada się do izby, chociaż się boi. Najbardziej miotły, która stoi obok drzwi wejściowych. Jest wiecznie głodny. Stale węszy za czymś do jedzenia. Mama znosi go w mieszkaniu ze względu na myszy, których nie da się wytępić z glinianych ścian. Koty są dziwne. Tolerują człowieka, ale go nie lubią. A mama nie lubi kotów. Daje mu spokój

tylko wtedy, gdy ten siedzi w skrzynce na drewno. Bo lubi grać się pod piecem. Rano go wpuszcza, wieczorem wygania. Mama brzydzi się kotów. Czasem dostają sraczki, mają wzdęte bańdziochy. Wtedy zdarzy im się zesrać w izbie. Kiedy mama czuje zapach gówna, łapie kota.

„Trzeba mu wsadzić w to nos”, mówi do nas. Trzyma kota za grzbiet i ze wstrętem wciska jego głowę w gówno. Zwierzę próbuje się wyrwać, przebiera łapami. Mama nie puszcza.

„Puść go, mamó! Nie rób krzywdy biedakowi”, wołamy. Ale mama nie przestaje.

„Niech się nauczy raz na zawsze, że nie wolno mu tu srać”, krzyczy piskliwie. Brzydzi się kota. A ja brzydzę się gówna. Puszcza dopiero, jak kot zaczyna drapać i miauczeć. Pogania go miotłą. Uderza z całej siły.

„Nie będziesz mi tu srała, cholero jedna”, powtarza, okładając go miotłą.

Kot ucieka na wszystkie strony. Wreszcie siostrze udaje się otworzyć drzwi i wtedy wybiega.

Koty są wiecznie głodne. Mało dostają.

„Niech sobie poszukają jedzenia”, mówi mama. „Myszy jest pod dostatkiem. Ptaszków, robaków w ogrodzie. Niech je łapią”.

Są wychudłe. Raz widziałem jednego między zagonami kapusty, wydawał dziwne odgłosy. Nie zauważył, jak się zbliżam. Widziałem go od tyłu, bardzo się męczył. Ten kot nigdy nie pił mleka, nie jadł tego, co dostawał. Podeszedłem bliżej, wtedy zobaczyłem, co robi. Pochylony do przodu rzygał.

Próbował połknąć żabę, z pyszczka wystawały już tylko tylne nogi. Nie mógł jej przełknąć. Niczego nie widział, niczego nie słyszał. Był skupiony na żabie. Zrobiło mi się niedobrze, niespodziewanie dotarło do mnie to, co widzę. Ale nie potrafiłem odwrócić wzroku. Przez chwilę walczył, potem poddał się i zaczął ją wykrztuszać. Stękał. Całe jego ciało kurczyło się rytmicznie. Powoli zaczęły się wyłaniać przednie nogi żaby. Co jakiś czas odpoczywał. Dużo czasu minęło, nim przez ściśnięte gardło wykrztusił za duży kąsek.

Żaba, kiedy ją zwymiotował, otrząsnęła się i po kilku susach zniknęła wśród kapuścianych liści.

„Nie mogę zdzierżyć tych ludzi”, mówi mama o miejscowych. „Nienawidzę tego, że się nie kąpią. Nawet się nie myją. O paście do zębów nie wiedzą, jeść ją czy pić. Dzieci chodzą brudne, pies z kulawą nogą się nimi nie interesuje. Puszczają je samopas jak Pan Bóg muchy. A w sklepie taki smród, że siekierę można powiesić...”

Mama jest zawsze niezadowolona. Ciągłe coś czyści, szoruje ryżową szczotką. Sprząta izbę, w której wszyscy mieszkamy. Wzdłuż tylnej ściany stoją w niej dwa łóżka. Między nimi jest akurat tyle miejsca, żebym się zmieścił. Podciągam się na poręczach. Mam silne ręce. Ale wciąż nie potrafię zrobić pompki w powietrzu. Trenuję. Zazwyczaj wiszę między łóżkami, kiedy siostra uczy się z mamą przy stole. Mamy tylko jeden stół. Siostra nie lubi się uczyć. Mówią o niej, że „ciężko myśli”. Patrzy tępo przed siebie i czeka, aż będzie koniec. Aż zapłacze braciszek albo zawoła ktoś z ulicy. Aż wykipi mleko. Cokolwiek, byle nie musieć się dalej uczyć. Patrzy przed siebie. Nie odpowiada.

Uparcie milczy. Uduje, że wpatruje się w książkę. Ale to nieprawda. Uczy się *Hymnu*. Ja umiem już drugą zwrotkę, tyle że nie rozumiem. „Bendegúza plemię...”<sup>3</sup> Nie wiem, co to za jeden, ten Bendegúz.

Teraz książka leży na środku stołu. Na wysuwanym blacie trzymamy dwie aluminiowe miednice. My mówimy: alominiowe. Nie używamy ich. Wyciąga się je tylko na świniobicie. Mamy też dwa stołki. Jeden z szufladką, w której trzymamy szczotkę do butów. Szmatkę do polerowania i pastę Csillag w płaskim metalowym pudełeczku. Czarną i brązową. Każdej wiosny mama pastuje nią polepę w izbie. Mamy też kredens i skrzynię z oparciem, na której zwykle siadamy. Przykrywa ją narzuta z gałganków. I kuchnię, która zimą służy do grzania, a latem tylko do gotowania. Ściany domu są gliniane. Nazywamy go ziemianką, bo wszystko ma zrobione z ziemi, nawet próg. Na wiosnę mama go maluje. Końskie łajno miesza na gęstą masę z odrobiną gliny i plewą. Jeśli jest wystarczająco dużo łajna, masa wysycha na twardą skorupę. W miejscu, gdzie chodzimy najczęściej – wokół kuchennego stołu na środku izby – kładzie na posmarowaną ziemię smolone płótno. To tam

<sup>3</sup> Wyimek z hymnu Węgier. Według legendy Bendegúz był ojcem Attyli, wodza Hunów.